

Syndrom 61. wersji

6 grudnia 2014

Był piękny wrześdziernikowy dzień. Słońce szumiało nad horyzontem, a wiatr świecił pustkami, jak w te upojne, pełne dwutlenkowych fantazji dni pierwszego przesilenia wiosennego.

Zbysz był w dobrym nastroju, zmęczony, ale szczęśliwy, jak ktoś, kto pracował całą noc, ale pewien jest, że efekt jego pracy będzie doceniony, skonsumowany i nagrodzony. Już cieszył się na wieczór, który wspólnie z kolegami ze strzeżonego osiedla mieszkaniowego na Spółkach spędzi miło przy dwulitrowej butelce coli i czymśtamczymśtam w dyżurce czerwonoносych ochroniarzy.

Wszyscy w firmie mówili do niego Zbysz, bo odbył dwutygodniowy staż w firmie wzornictwa przemysłowego w Stratford pod Londynem, gdzie tak go właśnie po raz pierwszy ktoś nazwał, i był to sam szef firmy, niejaki Dogson, który lubił skracać nazwy i zarobki.

Nazywali go Wielki Zbysz, bo miał 190 centymetrów wzrostu, a jego chude nogi podpierały zbyt dużo żywej masy i dobrze się z tym czuły.

Zaraz po stażu wrócił do biura z etykietą specjalisty pierwszego sortu i od razu objął ważną funkcję głównego projektanta, po Waldku Cnocie, który po pijaku naraził się Włamścicielowi.

Włamściciel, czyli właściciel firmy obuwniczej Foot Loose nie lubił podejmować decyzji i był mściwy, zwłaszcza, gdy ktoś zarzucił mu, że nie lubi podejmować decyzji.

Ponieważ dzień był piękny, Zbysz miał wielką nadzieję, że z podjęciem decyzji Mściszef nie powinien mieć kłopotu. Każda z wersji nowego półbuta sportowego z serii roboczo nazwanej Foot Fair była perfekcyjnie przemyślana i zaprojektowana. Wersje od

16. do 20. były skrojone na modłę nowych Nibbooków, a wersje od 21. do 24. – nowych Baabroków.

– Tak, no zgadzam się generalnie z twoją rekomendacją jedną i drugą. I dodałbym jeszcze te wersje dwie, o te i zrobił po dwie wersje kolorystyczne i dwie z tą nową podeszwą, co przyszła z Chin i wtedy mi pokaż i wtedy już na dobre wybierzemy, bo produkcja musi ruszyć – powiedział Włamściciel.

Zbyszek tylko trochę był niepocieszony, głównie z faktu, że nie wypije dziś wieczorem coli z czymśtamczymśtam, bo będzie musiał pracować do rana, bo miał do zrobienia razem szesnaście wersji, a jego asystentka nie mogła siedzieć po godzinach, bo była nieoficjalną dziewczyną Włamściciela.

O trzeciej nad ranem Zbysz przetarł oczy i pomyślał tylko:

– Byleby tylko nie doszło do sześćdziesięciu wersji, bo zaczną się kłopoty, jak wtedy, przy bucie wieczorowym Carrington.

Z wersji 25.–41. Mściszef wybrał dwie.

– Te robiła Jolka? – upewnił się.

– Tak. Te robiła Jolka – powiedział Zbysz, chociaż Jolka od dawna nie robiła żadnej wersji, bo tylko się malowała i naklejała sztuczne rzęsy, wargi i modne w tym sezonie kości policzkowe.

– No to pociągnijcie te dwie wersje Jolki razy dwa i na jutro, bo mam zły dzień. I w czterech wersjach koloru, bo w tym sezonie też bordobeżyk modny będzie.

– Czyli czerwień kaszubska, stalowa rdza, barbieróżyk i bordobeżyk?

– Tak, bordobeżyk musowo też. Albo też dodaj tę wersję Jolki trzecią.

– Ale nie ma żadnej trzeciej wersji Jolki.

– No to ją zrób, zróbcie.

W Zbyszku się zagotowało.

– Co ty taki buraczany? – spytała Jolka, gdy wrócił do pokoju projektantów.

– A nic.

– To pomóż mi nakleić sztuczny dekolť, bo sama sobie połamię paznokcie. Tylko się nie podnieć mną, ty hultaju!

– Zupełnie mnie nie rajcujesz – odpowiedział zimno Zbysz, a Jolka się obruszyła.

– No wiesz, chyba się obrażę, ty impotetencie.

– Tetencie mówisz...

Czas mijał bokiem, a Zbyszek wstrzymał wszystkie czynności swojego układu autonomicznego, byle tylko zdążyć. Z jednej strony miał dosyć, a z drugiej miał taką wredną cechę, która kazała mu wszystko dopieszczać i poprawiać. Potem jeszcze poprawiać po poprawianiu, gdyż nie było to wystarczająco poprawione, a nawet jak było to nie za bardzo i zawsze można było znaleźć coś, co można byłoby jeszcze poprawić. I potem jeszcze.

Jedyne czego tego dnia nie poprawił, to sztuczny dekolť Jolki, mimo że go wyraźnie o to między słowami prosiła w stylu komendy harcerskiej.

– Wychodzę. Rób, rób, poczuj za co pieniążki zarabiasz, tylko nie spieprz mojego projektu – powiedziała Jolka wyniośle, tonem „masz za swoje ty impotetencie”.

– Znowu – dodała po chwili, akurat w momencie, w którym Zbyszek dodał:

– Znowu.

Zdążył się do takich odzywek na odchodne przyzwyczaić i w zupełnie oczywisty sposób umiał odczytać dosyć jasne intencje swojej pracownicy.

– Idę do restauracji w hotelu na kolację z ludźmi, co mają maniery, cywilizowanymi ludźmi, wiesz. A zresztą, co ja ci tu będę i tak nie zrozumiesz znad tego swojego buta, tylko uważaj na kolor, słyszysz, bo ma być bordobeżyk, a nie bordobeżyk z saturacją obniżoną o 10 procent. No idę, i nie siedź tak, bo kołtuniejesz tylko. Boże, co ja mam za szefa skołtunionego. I niby w Anglii był – powiedziała Jolka i wyszła z pokoju.

Buty, buty, buty, buty, yty, but. Butami but butować, butowany z buta, but, ut, buto-ta-ta-trat, but, buty, buty, buty, yty, but. Butemsko w bucie butorabut, ut – w rozległych okolicach czwartej na ranem Zbysz widział już wszędzie buty. Gdy wyciągnął jeden z więzadła przypachwinowego, drugi spod paznokcia, a trzeci z gałki ocznej, postanowił przerwać malignę.

Wyszedł przez okno na parapet, wziął głęboki oddech, zamknął oczy i uniósł się w powietrzu na jakieś dwadzieścia metrów.

To go uspokajało i pozwalało skupić myśli. Obrócił się na wznak. Nad nim bezkres wszechświata w postaci czerwonego światła odrzutowca pasażerskiego, który latał w kolejce do wylądowania. Pod nim bezkres życia w bucie. Rześka przyporanna bryza owiewała jego plecy i napawała dobroczynnym chłodem naczyń włoskowate i cośćamcośćamprzypiersiowe, bo na cołę z ochroniarzami nie miał co liczyć. Było to jednak zbyt mało, by kora mózgowa sprokurowała informację „już jest luksowo”. Obrócił się na brzuch. W odpowiednim momencie, bo zaczął padać grad, a Zbyszek nie lubił gradu i spadł na budę Burka, psa pilnującego zakład, który się przestraszył, gdy ten zaklął:

– Cholera, już trzeci raz w tym miesiącu, psia mać.

– No i co to jest, Zbysz? I co ty taki powyginany na boki? Mieliście z Jolką pociągnąć te wersje od Jolki, a te, co

zrobiłeś, nie przymierzając, są gówniane. Zbysz, Zbyszu ty, kim ty jesteś, że sobie myślisz, że się będziesz wymądrzał?! Dawaj mi tu wszystkie wersje do tej pory zrobione!

– Ale to co pan prezes widzi, to są wersje od Jolki!

– Dawaj mi tu wszystkie wersje do tej pory zrobione, ale już! A zwłaszcza od Jolki, ty impotencie!

Szef raczej udawał, że był w złym nastroju, bo powinien być w dobrym, skoro poprzedniego dnia jego GKS Rypin wygrał w lidze aż 2 : 1. Dwie godziny wybierał wersje do dalszej pracy (albo udawał, że wybiera) i zaangażował w proces decyzyjny Jolkę, główną księgową i sprzątaczkę z łapanek w WC dla pracowników.

– Różowiutkie najlepsze, tylko za mało różowiutkie, panie prezesie nasz kochany! – zachłysnęła się swoim głosem główna księgowa i poprawiła konstrukcję z supermocnego lakieru do włosów utrzymującego śladowe ilości tego, do czego był.

– Ale to są buty dla facetów. I to głównie męskich! – próbował walczyć Zbysz, ale został uciszony piorunującym spojrzeniem sztucznego dekoltu Jolki, a poza tym zabołał go bark po budzie.

Wersje z piątej i szóstej dziesiątki miały być prezentowane dnia następnego. Zbyszek, który w nocy spadł tym razem na murek przy wejściu głównym zaczął od fundamentalnego dla projektu stwierdzenia:

– Wybierzmy coś w końcu, błagam.

Reakcji Włamściciela nie trzeba chyba opisywać, może należałoby jedynie podkreślić, że nie padły żadne mocne słowa, bo szef poprzedniego dnia wygrał trójkę w totopłotka i był w dobrym humorze, który kumulował się z wygraną GKS-u Rypin sprzed dwóch dni i nowymi twórczymi pozycjami łóżkowymi nazwanymi Jolka-136 oraz Jolka-137. Ale mściwość włamała się do umysłu szefa i Zbysz miał tego świadomość.

– Ty mi tu, Zbysz, nie podskakuj. Lepiej popatrz, jak wiele daje z siebie twoja skromna pracownica – zakończył mściwie Mściszef i spojrzał w taki sposób, w jaki spogląda ławnik, gdy mówi „winny”.

Następnego dnia stało się to, czego Zbysz najbardziej się obawiał – był zły. Gdy był zły, to był nieprzyjemny. Gdy był nieprzyjemny to mógłby zgnieść psychicznie każdego i każdego zmieść z powierzchni gładkich, jeżeli znajdował się w zasięgu jego wzroku. A był zły, bo wybiła 61. wersja. To oznaczało, że będzie walczył do upadłego. Bez względu na koszty. Czy to się komuś podoba czy nie. Będzie mówił prawdę i obnażał fałsz. Tak, dojrzał do tego. To był ten dzień, kiedy mógł przegrać wszystko. Albo wygrać wszystko. Tym bardziej że w nocy nawet nie spał, bo przeklęczał większość czasu z głową w sedesie na pierwszym piętrze (tam panował większy brud gówniany, ale większa czystość emocjonalna – gabinet prezesa był na parterze). Klękalność nocna pochodziła od piersiówki, która od kilku dni robiła się coraz większa i o dziwo zawsze była pełna.

Z takim demaskatorskim zamiarem szedł Zbysz do gabinetu prezesa. Wpłynął przez drzwi w stylu niemrawiastym nieuświadomionym, nie wiadomo dlaczego. Miał mieć mowę od razu po wejściu do gabinetu zaczynającą się od słów „dosyc tego!”.

– No, włącz wielka lalo, no już – powiedział Włamściciel, a Zbysz stanął po ścianą, w sumie też nie wiadomo dlaczego, bo przecież miał zacząć od „dosyc tego” (może być bez wykrzyknika).

Mściszef zebrał gremium oceniające, w skład którego, oprócz Jolki, głównej księgowej i sprzątaczkę, weszli jeszcze szef komórki marketingu i szef komórki sprzedaży. Najważniejszy po proboszczu w tej dzielnicy Lęknicy i najważniejszy po swojej kochance w swoim zakładzie czekał i miał srogą minę, chociaż dalej całkiem niezły humor, bo parę godzin wcześniej doszły pozycje od Jolka-138 do Jolka-142.

– Panie prezesie, to są wersje 58., 59... – Zbyszek zaczął pokazywać projekty i zastanawiał się, czy rozpoczęcie następnego zdania od „dosyć tego” będzie udane. Do jego świadomości zaczęła przebijać się łąka pełna niewinnych polnych maków czerwonością-upojenia-obietnicą swą kuszących jedynie ciukających wolontariuszy pracy butem tłamszonej.

W tym momencie zadzwoniła komórka szefa i ten ją odebrał sprawnym ruchem ćwiczonym w szatni na siłowni. Dał przy tym znak ręką (ćwiczony na minipolu golfowym w parkingu podziemnym centrum handlowego Snobland), by kontynuować prezentację.

–... sześćdziesiąta, sześćdziesiąta pierwsza... – ciągnął główny projektant, w którym wzbierało coś, czego nie mógł już nazwać gniewem, a tęsknotą raczej.

– Tak! – powiedział Włamściciel, a nikt na sali nie wiedział, czy to było do komórki komórki czy do buta.

– ...sześćdziesiąta druga...

– Tak!

– ...sześćdziesiąta trzecia...

– Tak jest i super! – powiedział prezes i spojrzał za okno, gdzie zobaczył rosnącego robotnika młotem pneumatycznym rozbijającego świeżo co położoną płytę chodnikową.

Dało to asocjację przyszłościową z pozycją Jolka-143 i prezes szybko dodał:

– No, wiecie co robić. Chcę to widzieć na półce w moim minimarkecie sportowym najpóźniej za dwa tygodnie. Aha, pani Jolu, proszę ze mną, mam do przekazania parę uwag co do koloru yzm... hgru.

Gdy Jolka wybiegła z gabinetu, Zbysz wyfyrtnął całą swoją energię i stał się cieniutkim balonikiem z powłoki skórnej.

– Wiecie, to chyba była 61., to „tak” było takie zdecydowane, jak przy Carringtonie – powiedziała rzutkim głosem księgowa, a jej instalacja z lakierowłosa opadła o 2 centymetry.

– No nie wiem. Wtedy wyszło, że tak, ale prezes miał pretensje, jak nie chcieli wziąć do hipermarketów – wąpiącym głosem powiedział szef komórki sprzedaży.

– Ale jak wzięli, to już nie miał – odparła atak księgowa i spojrzała na sprzątaczkę w taki sposób, że ta wiedziała już co ma powiedzieć:

– No.

– A ja myślę, że ostatnia, 63. On wtedy miał taki najbardziej radosny głos i jeszcze powiedział „super”.

– Super, ale szkoda, że nie ma naszej miss, miii, miii – wydał z siebie ledwie słyszalne piski Zbysz. – Ona zna pana prezesa najlepiej, piiii, piiii.

– Co ty mówisz Zbysieńku? – zainteresowała się główna księgowa.

– No to głosujemy, żeby odpowiedzialność się rozeszła demokratycznie i humanitarnie – powiedział szef komórki marketingu i wszyscy się zgodzili.

– Ale ja mam łazienkę na drugim do posprzątania, aaaaaj, lecę!
– krzyknęła sprzątaczką i zostały cztery osoby.

Po dwóch godzinach egzystencjalnej interpretacji zamysłu prezesa stanęło na tym, że została wybrana wersja nieważne jaka, ale prawie na pewno nie 61.

Zbyszek wylądował w miejscu, o którym marzył od rana, a które łąkę pełną maków mu przypominało – w łazience na pierwszym. Unosił się w sedesie, lewitując cztery centymetry nad wodą i było mu źle, ale coraz lepiej, czyli coraz mniej źle. Ta pozycja mu odpowiadała. Nikt go tu nie widział, a obecność

wody dawała pozory oczyszczenia umysłu. Do ceramicznej ścianki sedesu miał jakieś dwa kilometry, więc cieszył się nieposkromioną przestrzenią i wolnością. Obrócił się na wznak i zobaczył gdzieś hen tam w górze coś na kształt sufitu białego, niewinnego i niesplamionego koszmarem złego wyboru. I na suficie tym, gdzieś bardziej na lewo, był napis z namaszczeniem naniesiony tą samą białą farbą co sufit, więc tylko Zbyszek go widział. A były napisane dwa słowa: „tak” oraz „nie”.

I wtedy, z dołu, z głębi rur kanalizacyjnych zaczęły dochodzić jakieś ponure dźwięki.

Po chwili pełnej niemiłego napięcia usłyszał z czeluści sedesu głos prezesa materializowany pięcioma bąblami śmierzącego powietrza:

– Nowe-wersje-zrób-mi-Zbysz!

Pobąblowa, zabułgocona cisza nastała następnie. A główny projektant zobaczył, jak z sufitu, mijając się z „wersje” i błyskotliwie unikając zderzenia ze „zrób”, frunęło w jego kierunku z lekkością liścia najpiękniejsze słowo na świecie.

Autorstwo: Piotr Kowalczyk

Źródło: [Password Incorrect](#)